Rozmaitości

Dnia 27. Lutego Nr 9. 1836 Roku.

NIEWIERNOŚĆ W MIŁOŚCI.

Z angielskiego Edwarda Lytton Bulwera.

Przekład Karola Langego.

Ach! pierwsza rozkosz w lubego objęciu,
Kiedy kochana i kocha — dziewczęciu
Daje czuć duszę życia anielskiego;
Lecz kiedy słabą żądze gwałtu zbiegą,
I co drugiemu sobie wypieszczono,
W zmierzłéj lubości obca rozkosz skradnie:
Piekło natenczas wciska się tam zdradnie,
I śmierć zapładnia oblubieńcze łono!

Seweryn Goszczyński (Zamek Kaniowski).

Płytko-myślący jednę tylko znają niewierność; tę mianowicie, która — jeżeli ją popełni kobiéta — ani odwetowaną, ani przebaczoną być nie może. Nie znają oni tysiącznych odcieni, w które się zmienność przybiéra, nie śledzą zatrważających postępów oziębłości serca. Wszakże tych, co prawdziwie i tkliwie kochają, spotyka jeszcze inna niewierność, w któréj osoba nie ma żadnego udziału. Jak na niewdzięczność, tak równie i na nią, żadne prawo nie stanowi kary, a na własne pomszczenie krzywdy, siły nie starczą.

Jeźli w ścisłém połączeniu serc dwojga miłość jednéj osoby przeżyje przywiązanie drugiéj, któż zdoła wysłowić katusze nieszczęsnéj, poglądającéj na gaśnienie ognia, którego już żadna siła roztlić nie zdoła! Taka niewierność najczęściéj nagle nas uderza. Tkliwe zaufanie jest duszą kochającego serca; na próżno dowodziłbyś zaślepionemu, że współczucie ukochanego przedmiotu ostyga; anielska łagodność jego wynajdzie tysiąc przyczyn uniewinniających krzywe spojrzenia i oziębłość w pożyciu; — tysiąc innych, tylko jednéj, prawdziwéj, nie widzi. Mieni to skutkiem jakiéjś zgryzoty, słabości lub chwilowego roztargnienia; przemijającém myśli wezbraniem: biédne, siéroce serce!... z większą, niż przed tém ufnością, z tkliwszém rozrzewnieniem tuli swe czucie do zimnego łona, by żal ukoić, i w żywszém przywiązaniu znaleźć boleści pociechę. Przyszedł nareszcie czas, gdzie serca rozdwojone pogodzić za późno. Już nie jesteśmy wszystkiém dla okrutnéj, ukochanéj osoby. Przekleństwo nawyknienia spada na nas piorunem, a obojętność osiada przybytek, gdzie nasza dusza niegdyś zamieszkiwała. Przejrzeliśmy nieprzyjaźném światłem: poznajemy, że wzajemność ku nam zaumarła. I cóż nam w pociechę zostanie? Nic zgoła, niestety! Natenczas piérwszém naszém, naturalném uczuciem, ciężka zgryzota! Czujemy, żeśmy zdradzeni, wzgardziło nami niewdzięczne serce, a przecież... ubóstwialiśmy je, pieścili i od wszelkich zastawiali pocisków! Z jakąż radością, z jakiém uniesieniem w smutném nie raz oddaleniu wodziliśmy tęskne myśli o jego wdziękach i wierności! Dziś to wszystko już nas opuściło. Wpadamy w dzikie narzekania, stajemy się natrętnymi; badamy podejrzliwie każde spojrzenie, śledzimy złośliwie każdą czynność; sami nieszczęśliwi, dręczymy, obrażamy innych. Te nasze cierpienia, te porywcze wybuchy wrzącéj namiętności, te ironiczne, złośliwe przymówki, na które w odwet radzibyśmy, jak niegdyś, tę miłą usłyszeć odpowiedź, która zwykle zawziętość rozbraja: wszystko to przyspiesza okropną godzinę; są to nowe nasze występki; szczére dowody skrzywdzonéj miłości służą niewdzięcznéj osobie w obronę sprośnego przeniewierzenia się; niémi się zastawia, ich męki wyświetla, jak gdyby bez żalu, bez szemrania znieść można tak ciężką utratę! Cóż, gdy nareszcie mocném wstrząśnieniem runie świątynia i bóstwo uleci?

Jakże często w milczeniu zanurzeni poglądamy z wrzącém sercem w te, lodem ścięte źrenice, które już nigdy tkliwym nie błysną dla nas wyrazem. Nawet milczenie nasze zmartwiało; straciło dawną wymowność! — Niepojęci, niezrozumieni, jakże pragniemy śmierci, téj niemej zemsty za krzywdy! Błagamy Boga, aby nas pogrążył w niedoli, lub ciężką naruszył chorobą, spodziewając się, że drogą nam istota z pociechą do nas się zbliży. Z dziecinną ufnością wmawiamy w siebie: »W niedoli, smutku lub cierpieniu, przecież to serce nas nie opuści!« Zawiedliśmy się boleśnie. Bez opieki, bez starania gaśniemy samotnie śród wichrzącéj burzy! Wtedyto owłada nas dotkliwe, okropne uczucie samotności i niebezpieczeństwa. Nito dzieci błąkamy się w nocnéj ciemności. Nad śmierć samę sroższéj dotknęła nas ta utrata, bo nawet i owe »kiedyś,« gdzie znowu złączą się te szczęśliwe dusze, które były do śmierci kochane; nawet i to kiedyś wrócić nam nie zdoła téj miłości, którąśmy jeszcze przed końcem długiego życia stracili. Cóż mamy począć? Przywyknęliśmy kochać i wzajem odbiérać kochania dowody. Czyliż możemy nowe stwierdzać śluby i w innym przedmiocie szukać tego, co w tamtym zniszczało? Daremneto najczęściéj zabiegi! Czyliż bowiem téj niecnéj, nikczemnéj osobie nie poświęciliśmy najlepszych lat naszego życia, hożéj młodości serca, i najświeższych kwiatów naszych uczuć? Nie oddaliżeśmy jéj całego plonu! O! jakże mało na drugi zbiór pozostało!

Otóżto są rysy zbrodni moralnéj niewierności. Kto nam miłość kochanka, lub serce kochanki wydziéra, na wszystko inne ztępia nam uczucie. Może nam też i lata już nie służą, może i wdzięków już braknie, któremibyśmy zachwycić zdołali. Dawniéj moglibyśmy inny uczynić wybór, dziś ta pora minęła niezwrotnie. Któż nas w zawiędłéj postaci z pożółkłém licem, tak żywo ukocha, jak w onéj życia wiosennéj dobie, gdyśmy te wszystkie mieli przymioty, do których miłość łatwo się przykłania? Jakże piękne czucie objawiła ona kobiéta, która, gdy ją małżonek porzucił: »Oddajże mi,« rzekła, »to, com ci wniosła.« A mąż jéj odrzekł w jałowém ubóstwie swych uczuć: »Posag waćpani będzie jéj zwrócony.« — »Nie o posagu myślałam,« odpowié małżonka. »Oddaj mi mężu moje istotne skarby: wdzięki méj urody i młodość kwitnącą; oddaj dziewiczą duszy mojéj czystość, błogą umysłu wesołość, i to serce szczęśliwe, co nigdy nie było zdradzone!«

Otóż są istotne dobra, których nas niewierność pozbawia, gdy nam w świat wypchnionym z szyderczą goryczą, nowe radzi zawiérać stosunki. W miarę przeciągu czasu, kiedyśmy wierność naszę chowali, w miarę uczuć, któreśmy nieśli w ofierze, w miarę skarbów naszéj duszy, w miarę miłości i poświęcenia, jakiém serce nasze ku niecnéj osobie pałało; wzmaga się niepodobieństwo wynagrodzenia sobie poniesionéj straty. Lecz nie koniec na tém, wszelkie zatrudnienie wydaje nam się błahém i bezładném. Trudy zwyczajnego życia, codzienne zabawy, rozrywki towarzyskie, tak czcze, tak nizkie same przez się, błogim nas dawniéj chwytały urokiem, kiedyśmy je z ukochaną istotą podzielać, i o nich rozmawiać z nią mogli. Współczucie umila nam te zatrudnienia; lecz gdy to ogniwo pęknie, ginie powab trudów i rozrywek. Rozmowy, stają się nam głuszącą grzechotką, a towarzystwo, galeryją obrazów. Dobre imię, pracowitość, te nawet wzniosłe cele życia, nie zdołają ducha naszego orzeźwić. Cóż bowiem umilało nam pracę, co sławę czyniło drogą? Cóż, jeźli nie nadzieja, że nagroda onych odmaluje się w uczuciach drogiéj nam istoty? A teraz już nié ma jéj; jużeśmy przestali być miłémi temu drugiemu sobie! A potém (i to jest poźniéjsza uwaga), czyliż do żmudnych zatrudnień nie potrzeba nam pewnéj spokojności, i swobody umysłu? W bezpieczném posiadaniu tego, co nam jest najdroższém, radości i nadziei okiem poglądać możemy do koła: a przekonanie, że skarb, który posiadamy, żadną zewnętrzną przygodą wyczerpany być nie może, czyni nas przedsiębierczymi, i do działania ośmiela. Teraz, wszystko nosi piętno naszéj trwożliwości; własne samego siebie poważanie, ten konieczny warunek do nabycia dobréj sławy, raz upokorzone, skazaném zostało na poniżenie. Duma nasza silnym i boleśnym ciosem dotknięta. Czujemy to, że w żadnéj uciążliwéj pracy dotrwać nie zdołamy. Zdziwiamy się nad wielkością dawnych przedsię-

wzięć naszych. Dla tegoto Othello, gdy się zdradzonym być mniema, zabiegi całego życia za żmudne i wzgardy godne uważa:

»Żegnaj mi swobodo umysłu, i ty wewnętrzna błogości!« A potém nasuwa mu się konieczne, choć nie właściwie pojęte ogniwo w myśli łańcuchu: »Żegnajcie mi towarzysze »broni ze śniącémi hełmy, i wy dzikie wojny, »co dumie stawiacie ołtarze! Żegnaj mi rzący »rumaku, i ty grzmiąca surmo! Wy, do mę»ztwa budzące bębny, i ty piszczałko pieściwa! »Żegnajcie mi królewskie sztandary; żegnaj »świetny przepychu, i ty czcza chwało zwy»cięzkich bojów! Żegnajcie mi — o żegnajcie »na wieki! Othello nié ma co robić!«*)

Wszakże z téj dotkliwéj zdrady inne prócz tego, trwalsze wynikają skutki. Tracimy ufność ku ludziom. Nie łatwo zachwycą nas powaby. Podstawy moralnego świata wydają nam się wątłémi. Ani już wiarę pokładamy, ani budujemy nadzieję na wierności drugich. Kiedy ta jedyna istota, którąśmy tak ukochali, tak tęsknie pielęgnowali, która nas w kwiecie życia znała, któréj niezliczone, codzienne nieśliśmy ofiary, którąśmy w duszy serca naszego pieścili, dla któréj z całym światem szlibyśmy w zapasy, gdyby ją świat chciał pokrzywdzić — kiedy nas ona porzuciła, na czyjéjże wierności możemy jeszcze polegać?!

Nakoniec z czasem oswajamy się z niedolą. Zbiéramy powoli mech naszych uczuć z tego serca, które się dla nas zimnym stało głazem. Nie kochani, przestajemy też kochać. Rok mija po roku; wszystkie inne uczucia wzmagają się i ustępują. Duma przejdzie w obojętność, spaniałomyślność w skąpstwo, zawzięta nieprzyjaźń pójdzie w zapomnienie; wrogów możemy w życzliwych zamienić; ale miłości raz utraconéj, nigdy już nie odzyskamy. W głuchéj próżni naszego łona żadna już nie powstanie świątynia, żadne uczucie tkliwe nie zakwitnie; to jedno tylko, które zejdzie na dzikim odłogu miłości, czyto będzie nienawiść, czy wzgarda, czyli obojętność, to jedno tylko nie odstąpi nas do zgonu. Na zawsze zmienieni w oczach jednéj osoby, ilużto z nas zmieniło się w oczach świata; straciliśmy dawną wesołość, dawną w obcowaniu przyjemność; nasza uczynność stała się oziębłą, a podejrzliwość się wzmogła! Potop namiętności upłynął, ziemia się znowu zazieleniła, ale my już w nowym żyjemy świecie, a ten świat nowy jest tylko mogiłą starego!

*) *Othello, the moor of Venice*, dramat Will. Szekspira; w trzecim akcie. (Przyp tłum.)

NOWOROCZNIK WIANEK.

Z początkiem r. 1836 wyszedł w Warszawie Noworocznik: Wianek, wydany przez Józ. Kaczanowskiego. Piękność papiéru, druku i dobór rycin angielskich, tyle z powierzchownéj strony zalecają to dziełko, że może w równi stanąć z zagranicznémi almanachami. Co do wewnętrznéj wartości Wianka, nie wchodząc w szczegółowy rozbiór, tyle można powiedzieć, że proza odznacza się lekkością stylu, wiele jest scen w powieściach malowanych pięknie, i gładko opowiadanych. Mile się czytają: »Historyja wielu małżeństw F. hr. Skarbka;« »Dwie sceny w Saskim-Ogrodzie, Szabrańskiego.« — Dobrém obrazowaniem i do końca utrzymanym interesem odznacza się między innémi powieść, którą tu przytoczyć sobie pozwalamy:

OCZY UROCZNE.*)

1.

Bogaty szlachcic, w murowanym dworze, mieszkał nad Wisłą; wszystkie okna tego dworu wychodziły na spaniałą rzékę, nie było żadnego ani od strony gościńca, ani też obszérnego gumna. Długa alea lip, między którémi przechodziła droga do dworu szlachcica, zarosła trawą i chwastem, wskazywała, że nie wiele sąsiadów to samotne siedlisko odwiedza, że nie znajdziesz tu dawnéj gościnności.

Pan tego dworu od lat siedm dopiéro się z dalekiego powiatu sprowadził; ale wieśniacy mało go znali i nawet z bojaźnią unikali: okropne bowiem powieści biegały o nim.

Z bogatych rodziców urodzony nad brzegami Sanu, od kołyski nieszczęśliwa mu przyświécała gwiazda; miał oczy uroczne, które chorobę i śmierć ludziom zadawały. Kiedy spojrzał w złą godzinę na bydlę: zaraz zdechło; jeżeli co pochwalił: niszczało zaraz. Ojciec i matka ze zgryzoty pomarli, a *pan uroczny*, jak go w okolicy nazywano, gdzie nienaliczone zrządził swojemi oczyma szkody, przedawszy po rodzicach majątek, przeniósł się nad brzegi Wisły, i zamieszkał dwór murowany. Wszystkich pooddalał ludzi, zostawiwszy jeno domownika starego, który go na ręku wypiastował, i któremu jedynie złe oczy pana nie szkodziły wcale.

*) Urzec, urzeczenie, urzekliwy, urokliwy — od uroku, o którym przesądy dotąd między ludem trwają. Powieść ta wyjęta z dzieła, będącego w rękopiśmie pod napisem: »Kiechdy, starożytne podania ludu polskiego i Rusi.«

Pan uroczny rzadko wyjeżdżał z domu, bo za jego oczyma ciągnęły się klęski, śmierć i choroby; dla tego zawsze siedział obok pana stary sługa, co go ostrzegał gdzie wieś, miasto, czy człowieka zobaczył; wtedy pan zakrywał oczy nieszczęśliwe, albo je spuszczał, i zapatrywał się na wiązkę grochowin, zawsze w nogach położoną. Znając swoje oczy, którémi pomimowolnie nieszczęścia i klęski sprowadzał, kazał wymurować dwór obszérny, ale wszystkie okna obrócił na Wisłę, chcąc tym sposobem, by ludziom nie szkodził, ani na własne gumno nie patrzył; dwa razy już mu bowiem spłonęło, kiedy spojrzał w złéj godzinie. Mimoto przeklinali go flisy, i z trwogą ukazywali na duże okna murowanego dworu, zkąd oczy nie jednemu zadały chorobę, a burza zawsze niemal w przystani na przeciwnym brzegu, wprost białego (jak nazywano) dworu, wiele statków uszkodziła. Odważył się flis jeden, podpłynął na łodzi do białego dworu, i chciał widzieć *pana urocznego*.

Stary sługa przestraszony wprowadził do komnaty jadalnéj zuchwalego żeglarza. Pan, jedząc obiad, rozgniewany, że mu nieznajomy przeszkadza, spojrzał na przychodnia ponuro, a flis dostał takiéj febry, że słowa przemówić nie mógł, i upadł na progu. Stary sługa, z rozkazu litościwego pana, wyniósł go do łodzi, dużo dał pieniędzy, i odwiózł na brzég przeciwny. — Długo śmiałek chorował: kiedy zdołał mówić, okropny obraz, w którym wystawił *dwór biały*, i *urocznego pana*, przestraszył jeszcze więcéj wszystkich flisów, co go z ciekawością otoczyli. Od tego czasu każdy żeglarz, płynąc po Wiśle, odwracał oczy od białego dworu, z-cicha się modlił, i drżał na samo wspomnienie złych oczu groźnego pana.

2.

Już lat dziesięć minęło, jak dwór biały był przestrachem okolicznych mieszkańców i flisów. Nikt nie odwiédzał *pana urocznego*, a nieszczęśliwy pędził samotne godziny. Sroga nastała zima; stadami wilcy w około dworu smutnym głosem wyli, a pan domu siedział smętny przy kominie, na którym wielki gorzał ogień, przewracając karty jakowéjś księgi. Stary sługa już wszystkie drzwi pozamykał, i w téjże saméj komnacie z drugiéj strony komina usiadłszy, ogrzéwał stare i przemarzłe ciało, naprawiając sieć na ryby.

»Stanisławie!« rzekł pan do niego, »czy dużoście ryb w przerębli nałowili?« — »Nie wiele, panie, ale będzie dosyć dla nas obudwu.«

»Prawda!« mówił nieszczęśliwy bogacz, »już tyle lat, a my zawsze samotni; nieszczęśliwa godzina, kiedy mię urodziła matka! Zawsze sam! żyję jak pustelnik, bo ludzie uciekają przede mną!« I otarł łzy, co zwilżyły nieszczęsne oczy.

Nagle usłyszeli na dziedzińcu głos ludzki, wzywający ratunku. Zadrżał pan domu, tak dawno nie słyszał obcego głosu. Stary sługa wybiegł z komnaty, a za nim *pan uroczny* z lampą w ręku.

Przed samą sienią stały sanie kryte; obok stał sędziwy człowiek, wołający ratunku. Skoro ujrzał wychodzących ze światłem, wyniósł z sani omdlałą żonę, a stary sługa pomógł wysiadać przestraszonéj młodéj i pięknéj córce.

Przyłożono drewek na komin, otrzeźwiono zemdlałą matkę, pan domu radośny i wesoły, dobył zapleśniałych butelek węgrzyna, i suto sędziwego ojca pięknéj córki raczył. Stary sługa uśmiéchał się skrycie, patrząc na radość i wesołe lica swego pana, które zawsze ponurość i smętek od kolébki osiadał.

Gość przybyły, rozgrzany starym węgrzynem, opowiadał, jak w drodze, zaskoczony burzą, zmylił z drogi, a po długiém błądzeniu, napotkawszy gromadę zajadłych wilków, zaledwie uciec potrafił, i schronić się na podwórzu białego dworu.

Wnet rozpakowano sanie; a strudzeni, zziębli i wystraszeni podróżni znaleźli ciepły i wygodny spoczynek. Znowu cisza dawna zaległa komnaty, a ogień na kominku słabym jeno przyświécał połyskiem.

3.

Zégar ścienny uderzył piérwszą po północy; stary Stanisław drzymał przy kominie, pilnując ognia, gdy zaskrzypnęły drzwi od sypialni pana, i wyszedł *uroczny* nie rozebrany wcale.

Sługa zdziwiony przetarł oczy, i pomruknął snem rozmarzony: »Co, panisko biédne jeszcze nie śpi?«

»Cicho, stary mój druchu!« odrzekł pan wesoło, »spać nie mogę, i bodajbym nigdy nie zasnął, a był tak szczęśliwy, jak dzisiaj.« I usiadł w wielkiém krześle przy kominie, uśmiéchał się radośnie, i począł płakać.

Płacz, płacz biédniątko — pomyślał Stanisław — prędzéj może wypłaczesz z uroku swe nieszczęśliwe oczy.*)

»Gdyby mi Bóg dał to, co zamyślam,« mówił do siebie *pan uroczny*, »niczegobym na tym nie zażądał świecie. Już lat trzydzieści żyję samotnie, jak pustelnik albo zbrodzień; a przecież nie skalałem się występkiem, nie pomyślałem o zbrodni. Tylko oczy! oczy moje!«

Smutek zasępił oblicze przed chwilą radosne, lecz wkrótce znów uśmiéch osiadł na dawném miejscu, widać, że promyk nadziei spędzał ponurość. »Mój stary przyjacielu!« a Stanisław spojrzał wesoło, »ja może się ożenię.«

»Dajto Boże!« zawołał sługa, »ale gdzież szukać przyszłéj mojéj pani?«

*) Lud utrzymuje, że płacz serdeczny przeczyszcza tego rodzaju oczy.

Pan powstał z krzesła, zbliżył się na palcach do drzwi bocznéj komnaty, gdzie podróżni znużeni smaczno zasypiali, a wskazując ręką, wyrzekł z cicha: »Tam!«

Stanisław kiwnął głową, jakby pochwalał wybór dobry, i przyrzucił drew na komin. Pan zadumany odszedł do sypialni, a stary sługa pomrukając: »Dajto Boże! ale nie dojrzeją te gruszki na wiérzbie;« zasnął twardo.

4.

Rano zbudził się podróżny, ale o dalszéj drodze nie mógł pomyśléć, dla słabości małżonki. Pan domu z radością się dowiedział, że dni kilka zabawią, a Stanisław już zaczął wierzyć, że dojrzeją gruszki na wiérzbie. Gość, byłto szlachcic nie majętny, lecz choć nié miał do zbytku, żył uczciwie, i o nic nikogo nie prosił; upodobał sobie uprzejmego gospodarza, i po tygodniu goszczenia rzekł raz do swojéj już wiele zdrowszéj małżonki:

»Małgosiu! coś nasz łaskawy gospodarz smali cholewki do naszéj Maryi, i ona, jak baczę, nie od tego. Nie zlećbyto było.«

»Widzi ci się tak jeno;« odpowiedziała żona, ale w duszy rada była, że co roiła sobie po głowie i mąż potwierdził.

»Człek nie ubogi, nie młokos, nic mu nie brakuje,« mówił daléj, chodząc po komnacie; »nasza téż dziéwka nie krzywa, i dojrzała w latach, że już można oddać w ten stan święty, i pobłogosławić.«

Po wieczerzy gość sędziwy popijał starego węgrzyna, muskał czuprynę, i słuchał z uśmiéchem, jak pan domu w pokornéj mowie upraszał o rękę Maryi.

»Podobałeś mi się waszmość,« odrzekł po długim namyśle, »i kiedy o wiano nie pytasz, ani go żądasz, a masz dosyć własnego chleba, niechże i przędzie kądziel w waszym dworze, a rodzi dzielnych synów.«

We trzy miesiące *pan uroczny* miał żonę; znikła trawa i chwasty z alei lipowéj, bo je stratowało mnóstwo koni i kolas, co zwiozły krewniaków i przyjaciół panny-młodéj, na wesele do białego dworu.

W kilkanaście dni gwar ucichł, a droga lipowa znowu zaczęła zarastać trawą i pokrzywą.

5.

Nadchodziła druga zima, a towarzystwo we dworze powiększyło się tylko o jednę panią domu. Liczna czeladź, którą przyjął, wkrótce pouciekała, usłyszawszy, że pan ich ma tak nieszczęśliwe oczy; kilku pozostałych, doznawszy od nich ciężkiéj choroby, porzucili dwór biały, a młoda i dorodna pani, w ciężkich przewracała się bólach na bogatém łożu; tylko mąż przywiązany, z odwróconą głową, ściskał jéj ręce zimne i skrzepłe. Wiedziała, że mąż ma złe oczy; wiedziała, że niemi powiększał jéj cierpienia i bóle, a jednak szczérze przywiązana, błagała strapionego o jedno spojrzenie.

»Maryjo!« zawołał z ciężkiém westchnieniem nieszczęśliwy; »wiém, że nie będę z tobą szczęśliwy, dopóki mam te oczy; wybierz mi je... oto nóż ostry, a z twéj ręki nie będzie mię boléć.«

Wzdrygnęła się żona na tak okrutne żądanie, a *pan uroczny*, widząc ją niezachwianą, upadł na krzesło i rzewnie począł płakać.

»Na cóż mi ten dar boży, to szczęście, którego człowiek oczyma doznaje, kiedy wzrok mój klęskę niesie! Ty chorujesz ciężko, Maryjo! wierzę, bo uschnie nawet drzewo piękne, gdy nań w złéj godzinie spojrzę. Ale bądź spokojną;... nasze dziécię nie zobaczy już tych oczu; nie zaszkodzą mu téż w niczém i nie będzie pamięci ojca przeklinać!«

Jękiem tylko odpowiedziała chora małżonka. *Pan uroczny* wyszedł, zostawiwszy starego sługę; wkrótce dwa przeciwne krzyki odezwały się z dwóch stron przeciwnych białego dworu. Zakwiliło dziécię narodzone w sypialni. Rozległ się krzyk boleśny, donośny, męzki, w komnacie, gdzie gorzał na kominie ogień. Płacz dziécięcy zwiastował jego przejście na świat, że ujrzało promień słońca, a krzyk męzki, że ojciec tego niemowlęcia pożegnał się z tém słońcem na zawsze. Dwie oczy, jak dwa kryształy, z skrwawionym nożem upadły na ziemię.

6.

W sześć lat, okna wybito i z przeciwnéj strony, zkąd widok był na obszérną wieś i gumna. Flisy pod samym białym dworem mieli przystań wygodną. Pani domu, zdrowa i wesoła, cieszyła się piękną, jak anioł córeczką, która ślepego ojca oprowadzała. Wieśniacy, co stronili na widok pana niewidomego i dziécięcia, nie uciekali, jak dawniéj. Zniknęła cichość pogrobowa, bo dworzanie i czeladź napełniali dwór biały tak niegdyś samotny. Stanisław, już zgarbiony laty, zakopał oczy swego pana w ogrodzie. Raz zdjęty ciekawością, czy jeszcze się zachowały, odgrzebał ziemię i spojrzał: iskrzyły się jak świéce, ledwie ich blask odbił się o twarz jego, zmarszczkami okrytą, zadrżał, upadł... i skonał. Piérwszy raz i ostatni, zaszkodziły staremu słudze oczy *urocznego pana*. Długo ludzie gadali, że dla tego mu dawniéj oczy nie szkodziły, bo go pan wielce kochał; teraz same zagrzebane w ziemi, nabrały większéj mocy, i zabiły wiernego sługę. Pan ślepy serdecznie go żałował; wystawił mu piękny nagrobek z krzyżem, pod którym flisy modlić się zwykli, gdy w przystani odpoczywali pod białym dworem.

K. Wł. W.

LIST CZWARTY LUDWIKA BAŃCZAKIEWICZA.*)

Dnia 14. Lipca 1835 na morzu, na korwecie *John Adams.*

Od czasu ostatniego listu mego, mieliśmy bardzo interesującą podróż, udawszy się naprzód do Genui, téj niegdyś stolicy bogatéj rzeczpospolitéj, i tak słusznie nazwanéj pyszną. Istotnie trudno jest znaleźć miasto, panujące tak pięknéj zatoce, i którego pałace, wznosząc się w kształcie amfiteatru, tak spaniały widok przedstawiają, jakGenua. Cóż dopiéro powiedzieć o bogactwie i przepychu, które tu niegdyś panować musiały, i którego jeszcze są tak znaczne ślady; z trudnością prawie wierzyć można, widząc te ogromne gmachy, iż one były przeznaczone na mieszkanie prywatnych osób, w większéj części kupców i spekulantów. Gmachy te, w porządku jońskim, doryckim i koryntckim budowane, ozdobione są przepysznémi kolumnami marmurowémi, ściany malowane *al fresco* tak świéże, jak gdyby zaledwie lat kilka trwające, wewnątrz zaś wszędzie marmur, mozaika, złoto, *lapis lazuli*, i droższe nadto wszystko arcydzieła Rubensa, Titiana, Guida, Vandika i tylu innych sławnych mistrzów; skutkiem gościnności właścicieli tych budynków wszystkie znakomitsze salony są otwarte. Domy te, a raczéj pałace, są tak obszérne, iż familije dzisiéjsze, które przy upadku handlu, nie mogąc żyć na dawną wielką stopę, zaledwie czwartą lub piątą część gmachu zajmują. Teatr, trzeci we Włoszech, jest piękny i obszérny budynek, dobrze oświécony i ozdobiony, lecz gdy nie trzymają się tu gustu wszystkich innych miast włoskich i klasa wyższa nie uczęszcza na teatr, nie można przeto powiedzić, aby aktorowie byli bardzo dobrzy. Mieszkańcy zdają się być dosyć szczęśliwi, i jeżli nié mają miny bogatych, wyglądają na dobrze się mających. Co się tycze wojska, to jest bardzo ładnie ubrane i dobrze się wydaje.

Po opuszczeniu Genui udaliśmy się do Liworna, a ztamtąd do Florencyi przez Pizę. Kto piérwszy nazwał Włochy ogrodem Europy, nie powiedział nic nadto, a kto nazwał Florencyją *la bella*, szczérą prawdę powiedział. Cała droga, prowadząca z Liworna do Florencyi, 62 mil angiel., jeszcze przez Rzymian budowana, jest tak dobra, iż nie ustępuje prawie niezrównanym pruskim i polskim *chaussée*; z obu zaś strón drogi, zamiast naszych szérokich i prawie okiem niezmierzonych pól, znajdują się rozsiane wioski i miasta, domki wiejskie, *ville*, pałace i krótkie pola, przeplatane drzewami oliwnémi i winnémi krzewami, które układane w festony, i wiszące po obu stronach wzdłuż drogi, czarujący widok przedstawiają.

*) Ob: Rozm. Nr 30. z tam. roku.

Przybywszy do Pizy, zwiedziłem tę zadziwiającą budowę pochyłonéj wieży; rok, w którym zaczęto ją budować, nie jest wiadomy, mniemanie jednak jest, iż to było r. 1174. Czyli zamiarem architekta było, budować ją w stanie, w jakim ją dziś widzimy, czyli też nastąpiło to poźniéj, nie jest równie wiadomo; zdaje się jednakże, iż pochyłość ta nastąpiła w skutku trzęsienia ziemi, i że ósme piętro budowane było w celu przeciwwagi ciężaru. Wieża ta, 190 stóp wysoka, a 13 stóp pochylona wierzchołkiem od prostopadłéj linii, zdaje się co chwila grozić upadkiem, a przecież stoi od wieków. Wszedłszy w środek i idąc do góry po schodach, okazuje się wyraźne pochylenie, i zdaje się, jakoby osoba idąca upaść musiała; a wyszedłszy zupełnie na wierzchołek, dopiéro się używa widoku, który nie łatwo jest opisać. U stóp miasto Piza, otoczone ogrodami i polami w najwyższym stopniu kultury, daléj wioska, tak zwana *królewska*, należąca do wiel. księcia Toskańskiego i posiadająca 140 wielbłądów, jedyne miejsce w Europie, gdzie doprowadzono do skutku mnożenie się i chów tych użytecznych zwiérząt; daléj znowu, widok na odległe morze i maszty okrętów, jak przez mgłą się pokazujące. Piza niegdyś ludne, gdyż około 140,000 mieszkańców posiadające miasto, dziś poupadła, zaledwie 17,000 dusz liczy; zachowała tylko piękne klima, piękną okolicę i srébrną Arno, która ją na dwie części przedziela. Prócz tego posiada dwa kościoły godne uwagi dla pięknych malowideł, bogatych złoceń sztucznéj architektury, i niektórych kolumn rzymskich, egipskich i innych wschodnich, a wiele między temi jest z *porfiru*. Lecz najwięcéj zajmującym jest budynek, tak nazwany *Campo Santo*, gdyż dziedziniec w nim się znajdujący, dosyć obszérny, napełniony jest cały ziemią, przywiezioną z Palestyny, z grobu świętego. Budynek ten służył poprzednio na groby dla familii szlacheckich Pizy, lecz teraz zawiéra zbiór starożytności etruskich, rzymskich, greckich i egipskich, prócz tego ściany wewnętrzne ozdobione malowidłami *al fresco*, lubo od 400 lat wystawione na wszelkie zmiany powietrza, zachowały całą świéżość kolorytu i wyrażeń. Między innémi ciekawémi starożytnościami znajdują się tu wanny marmurowe greckie, kunsztownie wyrabiane *in basso relievo*, i bożyszcza bronzowe egipskie; wanny te są niezmierne obszérne i głębokie, i domyślać się trzeba, iż starożytni mieli zwyczaj kąpać się w kilka osób razem.

Przenocowawszy w Pizie, udaliśmy się do Florencyi, dokąd wjeżdżając trafiliśmy właśnie na tak nazwane *kursa*, które są zupełnie w duchu starożytnych igrzysk. Ponieważto był dzień świąteczny, a przy tém uroczystość narodowa, okna w całém mieście były najpiękniéj ozdobione,

a ulice napełnione mieszkańcami obojéj płci, czysto i elegancko ubranémi, a napełnione ozdobami i bogatémi pojazdami, spaniały widok przedstawiały. Do tego okazały orszak wiel. księcia, który się zwykle na podobnych publicznych widowiskach w całym swym blasku znajduje, nie mało się przyczynia do ozdobienia tego widoku.

(Dokończenie nastąpi.)

— Z Paryża d. 6. Lutego. —

Lipiński w Paryżu. Ziomkowie tego wielkiego artysty słusznie się dziwią, że pisma francuzkie nic jeszcze o grze jego nie głoszą, że go jeszcze nie wielbią według zasługi. Przyczyna tego bardzo prosta, bo Lipiński nie grał jeszcze publicznie, a dopiero od pary tygodni dał się słyszéć w kilku miejscach na prywatnych i dobranych wieczorach. W tych dniach zapowiedział koncert publiczny na dzień 20go lutego w sali ratusznéj, zwanéj *St. Jean.* Dla czegoż bawiąc prawie od trzech miesięcy w Paryżu, tak długo z tém ogłoszeniem się ociągał? Czy chciał piérwéj rozpatrzyć się w stolicy Francuzów? Czy chorował? Czy może sądzi, że Francuzi nie pojmą jego boskiego talentu? Nic z tego wszystkiego. Lipiński nie potrzebował rozpatrzyć się w Paryżu; Lipiński zdrów; Lipiński wié, że pomiędzy Francuzami, lubo w ogólności nie są bardzo muzykalni, znajdują się prawdziwi lubownicy i znawcy sztuki. Nie grał, bo jeszcze w Frankforcie wydarzył się przypadek, na szczęście, że nie jemu, ale jego skrzypcom, złamała im się szyjka, i to było przyczyną, że wcześniéj, niż chciał, a szczególniéj, niż Niemcy życzyli, kraj ich musiał opuścić, i pospieszyć do Paryża, gdzie w kilka dni spodziéwał się miéć sporządzony instrument. Atoli naprawa ta zabrała wiele czasu, a co gorsza, usłużny naprawca zrobił więcéj, niż od niego żądano, podciął, skrócił podstawkę, zapewne w najlepszéj wierze. Lipiński, aż się przestraszył, kiedy po długiém niewidzeniu swego wiernego przyjaciela, uchwyciwszy go w objęcie, usłyszał głos nieznany, chrapliwy, ale wnet wydała się przyczyna téj pozornéj zmiany: pokazało się, że przyjaciel się nie zmienił, ale że Francuz chciał go wystawić na przeniewierstwo. Zrobienie nowéj podstawki, znowu zabrało dni kilka. Dopiéro wtenczas, kiedy Lipińskiego kilku znakomitych artystów usłyszało, zaczęto myśléć o sali, w któréj publicznie ma wystąpić. Teatr włoski i sala konserwatoryjum zostały mu tak jak odmówione. Sąto miejsca monopoliczne: w piérwszém nie wolno śpiéwać nie należącemu do grona aktorów, a śpiéwak lub śpiéwaczka do tego teatru należąca, mogą występować tylko w operach na teatrze tym wystawionych, gdy zaś do składu koncertu Lipińskiego śpiéw był konieczny, więc i sali téj otrzymać nie mógł. W konserwatoryjum mogą grać publicznie tylko uczniowie tego zakładu. Z resztą namienić tu można, że Lipiński skromny i kochający sztukę dla saméj sztuki, obudza w Paryżu zabiegi niegodne artystów, ale poniekąd naturalne w mieście, gdzie tyle jest zepsucia i spółubiegania. Jedni go jeszcze mało słyszeli, kiedy mu śmią zazdrościć. Inni nie bezzasadnie obawiają się, aby ich nie zsadził z tronu, na którym dotychczas sami jedni mogli panować. To wszystko przyczyniło się do zwłoki, ale nie będzie mogło wstrzymać Lipińskiego tryumfu. Stanęło na tém, że da koncert w sali gdzie się mieści tylko kilkaset osób, ale gdzie się głos przewybornie odbija. Habenek, dyrektor konserwatoryjum, będzie kierował orkiestrą. O samym koncercie poźniéj. X. B.

Z Wiédnia. W drukarni Mechitarystów wyszedł Noworocznik: *Serbska Zora,* w języku serbskim, którego wydawcą jest Spirydyjon Jowicz, znany ze swego: »Opisu wojskowéj granicy,« Noworocznik ten zawiera wiele ładnych utworów, wierszem i prozą, i kilka dobrych przekładów, jako to: »Miłość macierzyńska,« dramat Panasza, i »Miłosz Obilicz,« ballada Vogla.

Literatura węgierska. Gdy dwa noworoczniki madziarskie: *Urania,* wydany w Strygonii, i *Nefelejts* w Koszycach, z powodu braku nakładu na druki przestały daiej wychodzić, natomiast w Preszowie zjawił się madziarski Noworocznik na r. 1836, pod napisem: *Jaczint* (Hiacynt), wydany przez Samuela Kovacz, wraz z wieloma współpracownikami. Zawiera on w części płody oryginalne, pieśni ludu, i tłumaczenia z niemieckiego, hiszpańskiego, serbskiego i polskiego. Niektóre prace odznaczają się wielkim wdziękiem i świeżością myśli. — Grzegorz Dankowski, prof. jęz. grec. w uniw. w Preszburgu, wydaje szacowny krytyczno-etymologiczny słownik języka madziarskiego: *Magyaricae linguae* i t. d., którego już 44 arkusze wytłoczono, t. j: do głoski *N.* Uczony ten filolog umieszcza w tym słowniku, oprócz pierwiastkowych wyrazów madziarskich, także i cudzoziemskie, tak, iż w spisie od litery *A* po *N* znajduje się: madziarskich z Azyi przyniesionych słów 273, pochodzenia sławiańskiego 1150, greckich 562, niemieckich 193, łacińskich 185, włoskich 171, grecko-sławiańskich (?) 149, francukich 14, hebrajskich 1; w ogóle 2425 słów obcych, tak, że pierwiastkowe madziarskie tak się mają do wyrazów pożyczonych z innych języków, jak 1 do 8. Szkoda, że pan Dankowski nie zwrócił jeszcze uwagi na języki: fiński, lapoński, wallijski, baskijski, albański, turecki, i na wschodnie, jak: syryjski, chaldejski, perski, sanskrycki; albowiem nie chodzi tu oto, z jakiego języka Madziarowie wyrazów pożyczali (co nigdy nie może być z pewnością rozstrzygnięte), ale oto, w jakich językach też same wyrazy przychodzą.

Nowe płody liter. francuzkiéj. Nie wyczerpany historyjo- i romanso-pisarz Jakób le Bibliophile (Lacroix) świéży wydał romans: *La folle-d'Orleans.* Historyja z czasów Ludwika XIV.; tom. 2. — Balzac wydał: »Sceny życia paryzkiego, albo: Badania nad obyczajami 19go wieku.« — Znany światu czytającemu z dawniéjszego swego utworu: *Ahassverus,* poeta Edgar Quinet, nie dawno ukończył swój poemat: »Napoleon,« który wkrótce wyjdzie z druku.

W d. 28. stycznia odbyło się uroczyste przyjęcie znanego autora dramatycznego Scribe na członka akad. francuzkiéj. Zgromadzenie było bardzo świetne; w mnóstwie najznakomitszych kobiét znajdowały się i piérwsze artystki teatrów paryzkich. Na wstępie swojéj mowy porównał się Scribe do owego genueńskiego posła, który na pytanie Ludwika XIV.: »Co go szczególniéj zadziwia w Wersalu?« odpowiedział: »Sire, to, że siebie tutaj widzę.« Skromność ta ujęła wszystkich. Mowa Scribe i odpowiedź pana Villemain powszechne zyskały oklaski.

Pan Tallejrand sypia w łóżku, jakby zapewne nikt spać nie potrafił, bo sypia prostopadle. Nie dosyć na tém, wiadomo, że on ma mimo sędziwego wieku, gęste i mocne włosy, te jednak nie są dostateczną chroną od wilgoci i zimna, nosi on jeszcze płaszcz nocny i 7 czépków nocnych. Jeźli czas jest piękny (rozumie się polityczny) bywa przy jego wstawaniu wiele osób, jeźli się widnokrąg zasępia, bywa ich mniej, a jeźli burza ryczy, którą on ucisza, bywa mało, lecz zawsze dosyć dla wystawy jego znaczenia. Od r. 1830 ten zwyczaj cokolwiek podupadł. Wstawszy z łóżka, nie zdejmuje żadnego z 7 czépków, wkłada pantofle i przechodzi się po pokoju, rozmawiając z gośćmi. Wstaje zwykle o 10téj godzinie. Dwaj pokojowi przynoszą mu potém wielką

srebrną miednicę, lub srebrną pozłacaną, albo z chińskiéj porcelany, stosownie do okoliczności. Nareszcie siada Tallejrand i zaczyna się toaleta czépków nocnych. Sługa zdejmuje jeden po drugim aż do szóstego, siódmy on sam zdejmuje i obciéra nim głowę. Następnie przywięzują mu pod brodą wielką serwetę i trzymają owę wielką miednicę. Po ukończeniu tych przygotowań, podaje mu sługa szklankę wody, którą on wypija, ale nie połyka, lecz wypuszcza nosem. To trwa ćwierć godziny z wielkim podziwem widzów, którzy nie pojmują, jak coś podobnego robić można, nie udusiwszy się. Potém następuje strój głowy. Jestto najtrudniejsza część toalaty, gdyż Tallejrand wymyka się ubiéraczom co chwila, aby do przechodzącego wyrzec słówko ujmujące, a to wszystko odbywa się w szkockim negliżu. Z kolei nadchodzi wielka toeleta, ale po nawonieniu się pierwéj tysiącznémi pachnidłami, które Tallejrand tak hojnie na siebie i swoje suknie rozléwa, iż gdzie się pokaże, pizmowa atmosfera powstaje. Po tém wszystkiem, uzupełnia się strój głowy, przez włożenie kapelusza, który Tallejrand w własnym pokoju na głowę wkłada, bo mu zawsze zimno i lęka się zawsze przeciągu powietrza. Rzecz zabawna widziéć, jak on w pokoju o 11téj godzinie z nieszczęśliwym kapeluszem na głowie siedzi, który jest tylko skromnym zastępcą 7miu czépków nocnych. (G. K.)

P. Balzac, który się wzbraniał uiścić z przyrzeczonych dwóch powieści do *Revue de Paris*, został oskarżony, i wyrokiem sądowym skazany na napisanie powieści, lub w przeciwnym razie, na zapłacenie 10,000 franków. Jaki niemiecki romanso-pisarz za taką nagrodę napisałby najmniéj z dziesięć tomów; lecz zdaniem dzienników paryzkich pan Balzac powinien pozwać sąd o skrzywdzenie go, iż tak mało ceni jego utwory.

Król Francuzów w skutek nowych swoich rozkazów *(ordonnance)* rozdał kilka krzyżów honorowych niektórym autorom i artystom. Między innémi wymieniają kawalerami legii honorowéj Juliusza Janin, p. Donicetti, kompozytora opery »Anna Bolena,« i p. Brocasset, jednego z rzeźbiarzy, którzy pracują około bramy tryumfalnéj *de l'Etoile.* Jak słychać podobnych mianowań więcéj ma nastąpić, w skutek których liczna zgraja wysypie się kawalerów.

Redaktor dziennika *Charivari* przed nie dawnym czasem pociągnięty został przed sąd do odpowiedzialności. Na wstępie zapytał prezydent oskarżonego: »Panie Simon, czy znasz wćpan oto ten artykuł?« — »Nie znam,« odpowiedział p. Simon, »albowiem siedząc w St. Pelagie, nie mogłem z nikim się znosić.« — »Nim wćpan zostałeś redaktorem *Charivari* byłeś pierwéj chłopcem u szewca *(garçon cordonnier)*?« pytał w dalszym ciągu prezydent; naco p. Simon odpowiedział: »Tak jest!« Tu już nie mógł wstrzymać się prezydent, aby nie dodał: »A to rzecz dziwna, że wćpan awansowałeś aż na redaktora pisma czasowego.«

Pani Catalani w wieczór Nowego-Roku w przepysznéj swojéj *villi* nie daleko Florencyi dawała wielki koncert, na którym ulubione swoje aryje śpiewała, i dowiodła, iż zawsze i dotąd jeszcze w najwyższym stopniu umie władać nieporównanym swoim talentem. Córka jéj, pani Vivic, śpiewała *duet* ze swoją matką, jakoteż i z księciem Poniatowskim, który piękny ma tenor. Po koncercie był bal i wieczerza. Znajdowało sie tam 230 osób, w liczbie których obecni byli wszyscy ministrowie toskańscy, szlachta florencka, hrabina Orłów, marszałek Bourmont z małżonką i t. d.

Dr. Paganini, brat sławnego wirtuoza, nie dawno zmarły w Genui, był zapalonym miłośnikiem muzyki; zostawił on po sobie wielki zbiór instrumentów, między innémi: skrzypce bogato wykładane perłową macicą, należące niegdyś do szacha perskiego, także skrzypce po lordzie Byronie, po królu Stanisławie Leszczyńskim, po Karolu IV., królu neapolitańskim i t. d.

W bliskości miasta Rawenny na brzegu morskim znajduje się gęsta stara dąbrowa, pamiętna wieloma zdarzeniami. Tam ścinali Rzymianie drzewo na galery, tam Wenecyjanie budowali okręty, i z tamtąd najwięcéj miast włoskich sprowadzało materyjał na statki. Bór ten nazwać można ogromnym składem przeszłości, teraźniejszości i czasów przyszłych. W jego posępnym cieniu przechadzał się niegdyś Dante, wygnany do Rawenny, zatopiony w ponurem dumaniu. »Czego tu szukasz? zapytał mnich błąkającego się tułacza. »Spokoju,« odpowiedział; to krótkie słowo jakże trafnie malowało wewnętrzną burzę w umyśle wieszcza. Jeszcze teraz żyje pamięć w Rawennie o Dantym, błąkającym się w téj dąbrowie; jeszcze teraz pokazują tam miejsce, gdzie Alghiery lubił siadywać, i nazywają je *il vicolo del poeta* (kącik poety); Bokaciusz obrał tę ustroń za widownię do swojéj traicznéj powieści: *Nartagio deglionesti*, a Byron tworzył w jéj cieniu: »Proroctwa Dantego.« Sam Dante opiewał tę dąbrowę w 28méj pieśni »Czysca.«

Na ulicy w Grenoble pojmano pewnego człowieka obłąkanych zmysłów, który każdemu kogo spotkał pluwał w oczy, mówiąc: że ślina jego wszystkie choroby leczy.

Jedna z najmocniéjszych trucizn, jakiéj używają nieszczęśliwi czarni niewolnicy w Jamajce, wyrabia się z korzenia Cassawy, z którego sok wyciskają i przyprowadzają do fermentacyi; z tego wylęga się mały robaczek, nadzwyczajnie zgubny dla człowieka, jeżeli go pożyje. — Murzyn ukrywa zwykle część tego robaka za paznokciem wielkiego palca, i podając jedzenie, albo napój swojéj ofiarze, wpuszcza takowy do jadła, i niechybną śmierć przynosi. Murzyni nadzwyczajnie są zabobonni; szczególniéjszą bojaźń mają przed duchem otrutéj osoby, lecz przytém zabezpieczają się od jego napaści, nosząc przy sobie ucho nieboszczyka.

Francuz z Hiszpanem. Francuz nosi dosyć długie włosy, Hiszpan krótkie; Francuz jé wiele i prędko, Hiszpan zwolna i mało; Francuz każe sobie najprzód podawać gotowane mięso, a Hiszpan pieczenię; Francuz pije zwykle wodę po winie, a Hiszpan wino po wodzie; Francuz rozprawia wiele przy stole, Hiszpan milczy; Francuz przechadza się po obiedzie, Hiszpan siada lub spi; Francuz chodzi szybko, Hiszpan postępuje wolnym krokiem; służący Francuza idzie za nim, Hiszpan swemu słudze każe iść przodem; jeżeli Francuz kiwa na kogo, natenczas podnosi rękę i porusza ją ku twarzy, Hiszpan przeciwnie podnosi ją i porusza ku nogom; Francuz, jeżeli z kim wchodzi lub wychodzi z domu zawsze jest ostatnim, Hiszpan zawsze pierwszym; Francuz z pokorą prosi o jałmużnę, Hiszpan żąda jéj z pewnym rodzajem rozkazującéj godności; jeżeli Francuz zubożeje, natenczas sprzedaje wszystko prócz koszuli, Hiszpan przeciwnie czyni, najpierwéj przedaje koszulę, a szpadę i płaszcz chowa do ostatka.

W Bukareszcie przed nie dawnym czasem wystawiano operę Belliniego: »Romeo i Julia,« w afiszu umieszczono jednak tę uwagę, iż aby uniknąć rozdziérającego wrażenia w końcu drugiego aktu, Romeo i Julia nie umra.

Mody. Tu i ówdzie pokazują się od niejakiego czasu wązkie rękawy u sukien, i dziwny spór tworzą na balach z utrzymującemi się jeszcze olbrzymiemi rękawami u zwolenniczek dawniejszéj mody. Czépeczki *à la Charlotte Corday* ulubionym są dam paryzkich strojem. Coraz więcéj bóstwo mody zaczyna się cofać o lat 40 lub 50; zdaje się, iż czasy Ludwika XVI. wzięto sobie za wzór dobrego smaku.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.